

Wiadomości Polskie

THE
POLISH NEWS
WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

Stanisław Mackiewicz: Droga wiodła przez Narvik. — Ksawery Pruszyński: Zapłata za Wrzesień. — Zygmunt Nowakowski: Długość i antypaństwowa bezmyślność. — Zbigniew Grabowski: Nowy straszliwy świat. — Adam Pragier: Pare słów o sprawach czysto wojskowych. — Obserwator: Pięta kolumna w Stanach Zjednoczonych. — Janusz Laskowski: Wspomnienia o Codreanu. — Gustaw Gazda: Rzeczy polskie w prasie brytyjskiej. — Niemiec o inicjatywie polskiej w r. 1933. — Alfa: Rozmaitości. — Korespondencja. — Spotkanie gen. Sikorskiego z Wellsem. — „Beautiful Poland”. — Prasa angielska o filmie „This Is Poland”. — Odezwy dla armii brytyjskiej. — Składki na stypendjum im. s.p. sierżanta Jerzego R. — Skarbnica Polska. — Utwory satyryczne. — Kantorbery Tymowski: Oda do brzucha. — Ignacy Krasicki: Pijaństwo. — Artur Bartels: Dzionek obywatelski. — Władysław Syrokomla: Nagrobek obywatelowi D.O.M. Rodoć: Nie jestem przy apetycie. — Fraszkli.

ROK II — NR. 25 (67) — LONDYN
NIEDZIELA 22 CZERWCA 1941

REDAKCJA

36, GREAT RUSSELL ST., LONDON W.C.1
Telefony: MUSEUM 2346 i 2563

ADMINISTRACJA

9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1
Telefon: HOLBORN 0868

PRENUMERATA

kwartalnie

w Anglii ... 6s. 6d.
w innych krajach ... \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przysyłać
czekiem lub „Postal Order” na zlecenie:
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

Przypominamy P. T. abonentom „Wiadomości Polskich” ze czas odnowić prenumeratę za kwartał III b.r.

STANISŁAW MACKIEWICZ

DROGA WIODŁA PRZEZ NARVIK

Wiedziałem już, że będę pisał recenzję z książki Ksawerego Pruszyńskiego „Droga wiodła przez Narvik” (*), gdy w „Wiadomościach Polskich” (nr. 60) czytałem dużą recenzję ze swojej „Historji”. I czytając tę recenzję, poprzysięgałem sobie, że nie tylko Pruszyńskiego, ale nikogo na świecie nie skrzywdzę tego rodzaju sprawozdaniem jakim mnie uraczył mój przyjaciel, kuzyn i dobroczyńca, a świetny publicysta polski, ukrywający się także pod pseudonimem Krzysztof Nienaski. Bo co to było tamta recenzja! — Na wstępie, paręset komplementów, superlatywów i pochwał, niczem argumentowanych, nie popartych żadnymi dowodami, czyli tego rodzaju pustych wychwałach, które zwykłem człowiekowi, o ile nie jest ministrem, wstyd w ogóle słuchać, bo są i przesadne i na niczem nie oparte. Później dopiero, następowala właściwa recenzja, polegająca na tem że recenzent prześlizgiwał się po tematach poruszonych w mojej książce, wykazując w tych tematach besserwisterstwo dla czytelnika niewątpliwie bardzo interesujące, ale dla autora książki, któryby się chciał czegoś dowiedzieć o wartości tego co napisał, dosyć irytujące. Otóż powiedziałem sobie: broń mnie, Panie Boże, abym się kiedyś w sposób podobny do czyjejś pracy ustosunkował. To co napiszę o książce Pruszyńskiego po-
nizej, będzie nieraz bardzo krytyczne. Ale z recenzją jest jak z nekrologiem. Gdy czytam nekrolog, że zmarły był zawsze czynnym, prawym, dobrym, że jego było światłane i gdy się w tym nekrologu niczego prócz pochwał nieumiarkowanych nie pisze, sądzę, że mam do czynienia z nekrologiem kupca korzennego, który poza handlem nie ujawnił w niczem żadnej indywidualności. Książka, jak i człowiek, składa się, jak klawisz fortepianu, z białego i czarnego, i białe i czarne czeredują się z sobą i są nierozłączalne. Dlatego uczciwy, rzetelny stosunek do książki, jak i do człowieka, musi łączyć pochwałę z zarzutem i oskarżeniem, a gdy tego niema, niema także żywego stosunku do książki i do człowieka.

Książka Pruszyńskiego „Droga wiodła przez Narvik” jest jego pierwszą pracą powieściową. Start wspaniały. Otworzył nią sobie szeroko drzwi na najwyższy Parnas polski. To niewątpliwie. Artystyczny i artystyczno-psychologiczny reportaż Pruszyńskiego, którego niegdyś W. A. Zbyszewski nazwał Bulhakim dziennikarstwa polskiego — przygotował go, wydoskonalił, pozwolił mu dojrzeć do pisania głębokich i słicznych powieści. Genjusz poetycki, to genjusz ludzi młodych, największe arcydzieła poetyckie świata pisywali ludzie pomiędzy dwudziestym a najwyżej trzydziestym piątym rokiem życia. Natomiast powieść, to udział ludzi starszych; wszystkie prawie wielkie powieści są napisane przez ludzi po czterdziestce. „Droga wiodła przez Narvik” wykazuje że Pruszyński powinien zostać powieściopisarzem. Będzie z niego wielki powieściopisarz polski, może trochę w półtonach i barwach przypominający Żeromskiego, może Żeromskiemu równy, może od Żeromskiego barwniejszy, napewno nie tak jak Żeromski histeryczny. — „Droga wiodła przez Narvik”, obok pewnej atmosfery artystycznej, pewnego materiału

artystycznego, który ją upodabnia do artystycznych zalet Żeromskiego, ma także pewne wady żeromsczyzny.

Główną zaletą Pruszyńskiego jest jego słowo, jego styl, jego forma. Pruszyński jest mistrzem formy. Styl Pruszyńskiego jest „rozbudowany”, jeśli mamy użyć tego obrzydliwego, polsko-biurokratycznego wyrażenia. Jest to styl ornamentacyjny, tak bogaty że czasami przypomina świątynie hinduskie. Ale wystrzegam się od napisania: styl barokowy, bo w baroku jedno zapelza na drugie, miesza się z sobą, klebi węzły. Bogactwo ornamentacji niekoniecznie ma być barokiem, w katedrze medjołańskiej jest trzy tysiące figur na zewnątrz, a dwa tysiące na wewnątrz, lecz jest ona gotykiem. W katedrze w Bourges widziałem małe postaci mnichów, niewielsze od ludzkich dłoni, w ilości kilkudziesięciu strzegących sarkofagu. Zakładało się takiemu mnichowi lusterko przed kaptur, i w lusterku tem widziało się małą twarz z wyrazem ponurym, albo przynębnym, albo smutnym, albo śmiesznym, w każdego takiego mnicha innym. A więc bogactwo ornamentacyjne, bogactwo szczegółów, niekoniecznie wiąże się ze skłębieniem i rozwiłnością form barokowych. Pruszyński właśnie tem jest doskonały, że jego frazes mimo ornamentacyjnego bogactwa niema w sobie nic ani z baroku, ani z tego secesyjnego pokielbaszenia zdania, w którym tak celował u nas Kaden-Bandrowski i wielu jego naśladowców.

Pruszyński pisze w zakończeniu: „Droga że widzieli tylko jak flaga, zrazu lopotąca się ciężko, poczęła wypływać ku górze, ślizgiem coraz szybszym i coraz różniej-
szym, aż wreszcie oparła się o szczyt, znie-
ruchomiła, wykwiła. Wiatr morski znie-
mego dnia poczęł nią szarpać, rwać, trze-
potać, a ona swoją bielą i czerwienią, żywo-
ścią barw w tym szarym, północnym świe-
cie, zabila w powietrzu, jakby w jej fałdy
rozwijane falisto wcepiły się czyjeś mło-
de życia, czyjaś krew utoczona najhojniej,
czyjeś nadzieje nigdy nie ginące, czyjaś
wiarą nieznębiona niczem, i jakby to one
właśnie odżywały i trwały wiecznie w owym
na wietrze, sztandarze. Który był nad tym
statkiem i nad tem wojskiem na morzu
obcem, jak krzyk ludzki, jak ptak żywy,
jak płomień ognia. Jak znak”.

Czuje się tutaj nie Kadena, lecz rękę
ulożoną przez innego mistrza. Posłuchajmy:
„Step szumił słodko, z kwiatów wycho-
dziły zapachy silne i upajające, czerwone
głowy bodiaków, purpurowe kistki rozto-
cza, białe perły mikolajków i pióra bylicy
pochylały się ku niej, jakby w tym koca-
czku przebranym, o długich warkoczach,
mlecznej twarzy i krańcych ustach rozpo-
znawały siostrę dziewczynę. Chyliły się te-
dy ku niej, jakby chciały mówić: nie
placz krasnodiwo. Trzeba było opiece
Bożej. Jakoż uspokojenie przychodziło do
niej od stepu coraz większe. Zacieraly się
obrazy mordu i pogoni w umyśle a nato-
miast ogarniała ją jakaś niemoc, ale słodki
sen poczęł kleić i jej powieki, konie szły
wolno — ruch ją ukolysał. Usnęła”.

Czyż w tych zwrotach nie usłyszymy
pewnej pramuzyki, która odzywa się echem
w uprzednio cytowanych akordach Pru-
szyńskiego? A przecież to Sienkiewicz.

Są pisarze-adwokaci, pisarze-malarze,
pisarze-muzycy. Pruszyńskiemu bym na-
zwał pisarzem kującym w brzoźnie. Jego
frazes dźwięczy, jego literatura pełna
jest patosu. To nie miękkość, nie łatwość,
nie wygoda, to dźwięk miedzi, który podry-
wa człowieka z miejsca i długo jeszcze nie



JAN MEYSZTOWICZ, KSAWERY PRUSZYŃSKI, KAROL ZBYSZEWSKI
w drodze do Norwegii

ginie, rozchodząc się daleko. Bogactwo
ornamentacyjne jego pióra jest tak wielkie,
że człowiek sobie myśli: mnieby jeden taki
frazes wystarczył na zafarbowanie patosem
stronicy, a tu obok jednego patosu mamy
drugi, trzeci i dziesiąty. Ale to bogactwo
ornamentacji jest charakterystyczne dla
Pruszyńskiego, nie jest to niszczący iskrę le-

pisarz snopów iskier rzucanych w ciemną
dal, jak rzuca lokomotywa biegnącego
pociągu.

„Droga wiodła przez Narvik” jest książ-
ką wojenną, książką o przeżyciach czło-
wieka, który brał udział po raz pierwszy w
boju. Najlepsze są w niej rozdziały pier-
wsze i rozdziały ostatnie, w ostatnich —
publicystyczna gloryfikacja żołnierskiego
wysiłku, w pierwszych — ów dech wojny.
Pamiętam ja sam, dwadzieścia lat temu,
kilką wiosek za Byteniem, na północnym
kraju Polesia, zimno, zachodzące słońce,
zapach wody i błota i tającego śniegu i
kobyłę, która się pode mną kręci, i plot i

dziewczyne, która mi podaje gliniany
dzban wody, i jak tę wodę piję z dzbana,
oblewając szynel spowodu kręcącej się ko-
były, gdy gwizdnęła, po raz pierwszy prze-
mnie w życie słyszana, nieprzyjacielska
kula karabinowa: jedna, druga, trzecia,
czwarta. I jak wtedy podałem przez plot
dzban dziewczynie, która się przestraszy-
ła, jak się cały usmiechnęłem do samego
siebie z radości, że się nie przestraszył, i
jak z wielką radością poczułem, że będę
bojowym żołnierzem, i poczułem jeszcze
coś innego, dziwnego, ten dech wojny wła-
śnie. Bomba, która spada w Londynie, nie
daje ci tego uczucia, co kula mierzona indy-
widualnie w ciebie, na którą ty indywidual-
nie odpowiesz. To właśnie jest mistycz-
mem boju, tym mistycznym atawizmem
obowiązkiem męskiego do boju, by wy-
równać poświęceniu nałożonemu przez
Boga na kobietę, która w mekch i nie-
bezpieczeństwie rodzi. I oto ten dech
wojny doskonale występuje w pierwszych



BJERKVIK NAD KERJANGSFJERDEM W PŁOMIENIACH
w zdobyciu Bjerkvik brały udział wojska polskie

rozdziałach powieści Pruszyńskiego: ten
Wolski, który powiada, że stanęła między
jego wyobraźnią a tem co będzie z nim
dalej jakaś ściana, i dramatyczna scena z
wycieczkaniem na wiadomość o śmierci
tegoż Wolskiego, ta w oczekiwaniu na
bitwę widziana z oddali dziewczyna w
czerwonym swetrze, na tle rozległego wi-
dnokregu.

Ten dech wojny Pruszyńskiemu się udał
i nie mógł się nie udać. Jego indywidual-
ność artystyczna jest jak klasa, na której
genjusz wojny, zacząjony w fiordach,
kamieniach i lasach norweskich, musiał się
odbić. Jakże charakterystyczne jest owo
przeplatanie opisów przyrody z opisem
karabinów maszynowych. Jakże pięknie
mówi Pruszyński: „Wojna, to nie tylko
przeżycia wojenne. To wykrojony na chy-
bil trafil wycinek jakiegoś kraju, ekran
po którym biegnie obrazami film”.

Natomiast nie udał się Pruszyńskiemu
cały epizod ze szpiegiem niemieckim Zie-
miańskim - Bodenheimerem. Ten Zie-
miański jest 1) szpiegiem, 2) gwałci, 3)
tchórz, upokarza się, płacze, histeryzuje.
To wszystko — jakby powiedzieli bolsze-
wicy — jest artystycznie nieprawdliwe,
zwykle ci co szpiegują, już nie gwałcą, a ci
co gwałcą, nie przepraszają. Skupienie
wszystkich najczarniejszych cech charak-
teru na jednym jęgonosciu było przywile-
jem pisarzy piszących sto lat temu — w li-
teraturze nowocześniejszej zdarza się na szczęście
rzadziej, niż w literaturze „Droga wiodła przez

„Droga wiodła przez Narvik” jest powieścią, a nie wykładem, nie jest
pierwsze, żadnego Ziemiańskiego nigdy nie
było, że postać ta nie była rysowana z
natury, lecz została wykombinowana; po
drugie, że Pruszyński nigdy w życiu
nikogo nie gwałcił i nie wie jak się to robi,
co mu zresztą nie przynosi wcale ani ujmę,
ani hańby, lecz pozbawia doświadczenia
ze łączenia gwałcenia niewiasty z kra-
dzia map porucznika z rysowaniami
poczajami polskiego wojska jest nieréalne
i niepraktyczne. Szpiega plutonowego Zie-
miańskiego, z prawdziwego nazwiska Bo-
denheimera, wyszedł kapral Gruda, żoł-
nier z byłych czerwonych batalionów pol-
skich, które walczyły w Hiszpanji. W tej
powieści musi to odrzuć wskoczy na
szczębie symbolu, który niewątpliwie nie
odpowiada moim gustom, a sądzę że w
niczem nie odpowiada też odzwierciedleniu
prawdy historycznej. Bolszewicy nie szu-
kają obecnie niemieckich szpiegów, lecz
dzielnie sekundują i pomagają piątej kolum-
nie we wszystkich krajach, a zwłaszcza
w Ameryce. Roztkliwiać się czerwona
Hiszpanja w książce o polskim wysiłku
pod Narvikiem niema najmniejszej po-
trzeby.

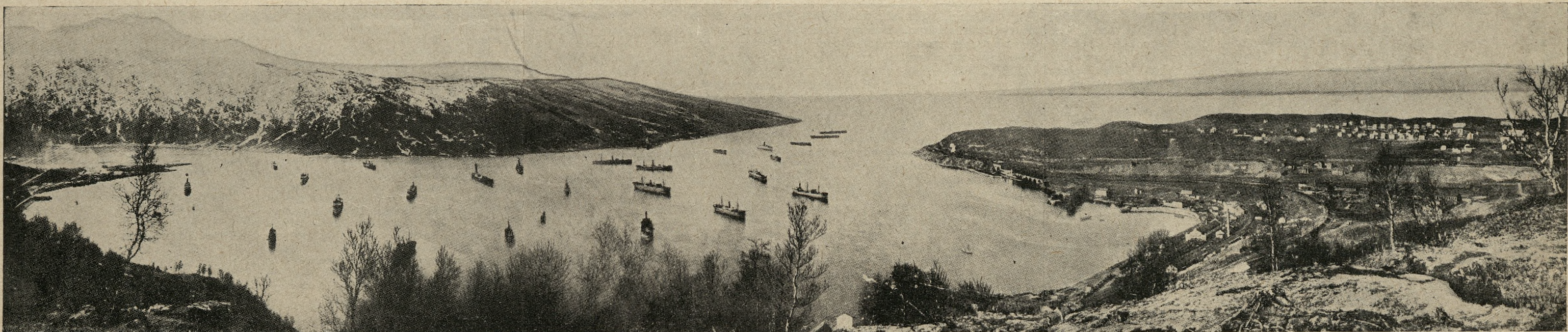
Również nie wiem czy odpowiada zamie-
rzeniom autora rozmowa Niemca z Pola-
kiem Ketterlem. Trzeba było lepiej temu
Niemcowi odpowiadać. Chodzi mi po głó-
wie wiersz Boya-Zeleńskiego, a raczej jego
okrucy, jego okaleczone urywki: „Wszyst-
ko jest głupie, wszystko jest klam-
stwem... co nie jest z serca do serca”.
Pruszyński artysta mówi prawdę, Pruszyń-
ski-rezonner potyka się w swej argumentacji.
Przedewszystkiem, jako zawodowy pole-
mista, muszę mu powiedzieć, że armja
cesarskoniemiecka z okresu wielkiej wojny
nie składała się bynajmniej wyłącznie z
„bezmówniejszej dyscypliny” i z „niesamowi-
tego drylu”. Leżałem kiedyś w nie-
mieckim szpitalu wieziennym, wśród wię-
niów żołnierzy niemieckich, jadłem ryż z
marmoladą jabłeczną i znam trochę ich
życie. Wiem że na linję boju, pod zapo-

rowym ogniem artylerji nieprzyjacielskiej,
pełził na brzuchu podoficer cesarski, by
dostarczyć żołnierzowi w ogniu, abonowany
przez niego socjalistyczny i republikański
„Vorwärts”. Dalej, wyjeżdżanie ciągle z
tą „nową” Polską, o którą się żołnierz bije,
irytuje mnie w sposób najżywszy. Żołnierz
bije się ani o „nową”, ani o „stara” Polskę,
lecz bije się poprostu o Polskę. Oficer ma
obowiązek zachęcić go przykładem, możli-
wie ochronić od niebezpieczeństw, dopomoć
do zwycięstwa, ale oficer nie powinien
wymądrzać się przed żołnierzem o celach
wojny, tak samo dobrze jak akuszerka
siedząca przy położnicy nie powinna jej
opowiadać, że rodzi dziecko w bólach dla
„nowego” świata czy „nowej” Polski. Rze-
czy wielkie są proste. Człowiek wobec
wojny może być albo tchórzem, albo boha-
terem. I to i tamto nie potrzebuje komen-
tarzy społecznych. Człowiek bijąc się speł-
nia ten sam elementarny obowiązek, co
kobieta która rodzi. To że ten obowiązek
jest powszechny, nie odejmuje mu wiel-
kości. Naród, który pod każdym wzglę-
dem powinien nam być przykładem, a
Anglicy, wydał pisarza Galsworthy’ego
w jednej z jego powieści młody
młody, że w wojnie z Burami nie A
lecz Burowie mają rację, i mówią
długo, aż w końcu jedzie na ochot-
nicę, walczyć z Burami. Zresztą to gadanie
„nowym” świecie jest o tyle nieaktualne,
że u boku Anglików prowadzimy to-
wną wybitną obroną, w której bro-

„Droga wiodła przez Narvik” jest powieścią, a nie wykładem, nie jest
życia indywidualnego, do indywidualnej
swobody myśli, przeciw totalizmowi.
Szczęściem, nad Pruszyńskim-rezonnerem
góruje w tej książce Pruszyński-artysta i
Pruszyński-człowiek. Wspomniałem o za-
kończeniu powieści Pruszyńskiego. Składa
się ono z trzech ogniw. Ostatnim jest owa
flaga... „jak znak”, z której opisu wyjątek
zacytowałem. Składa się także z reakcji
przeciw nietaktowi popoleniemu wobec
żołnierskiej śmierci. Ta scena nietaktu
jest arcydziełem dyskretnego sarkazmu.
Pod względem artystycznym jest to nie-
wątpliwie najwspanialsza stronica nie tylko
tej książki, lecz w ogóle jedna ze wspania-
łych stron literatury polskiej. Zakończe-
nie to składa się wreszcie z kazania księdza.
Kazanie jest piękne, jak artykuł w „Wi-
adomościach”, ale nie jest raczej kapelana
wojskowego odstawiać Skargę i korzy-
stając ze śmierci żołnierza pouczać nas o
zdrożnościach w biegu polityki polskiej.
I Pruszyński-artysta to rozumie. Jest w
jego książce inny pogrzeb, o wiele patetycz-
niejszy. Oto gdy ksiądz powiada: „Ja
go tu nie pogrzebię” i żąda by żołnierza
odwieźli na cmentarz, plutonowy chce
protestować, ale spostrzega, że żołnierze są po
stronie księdza. I wtedy, w tem grzebaniu
na cmentarzu, ksiądz katolicki spełnia to
co winien żołnierzowi, który spełnił to co
winien ojczyźnie. Jakże głęboko rozumie
to Pruszyński, który z natury jest katolicki
i może dlatego o katolicyzmie o wiele
mniej mówi, niż o demokracji, o której
mówi ciągle.

„Droga wiodła przez Narvik”, książka
żołnierza, który spełnił swój obowiązek,
dobrowolnie wstępując do wojska, by w
jego szeregach poddać się rozkazom i
dyscyplinie wojennej, książka literata, któ-
ry spełnia obowiązek pisarza, nie poddając
swego pióra niczym rozkazom, książka o
polskim boju na dalekiej północy, zasługuje
na szacunek.

STANISŁAW MACKIEWICZ.



PANORAMA NARVIKU

z lewej wzgórz, na których toczyła się brygada podhalańska



KSAWERY PRUSZYŃSKI

ZAPŁATA ZA WRZESIEŃ

Człowiek, który mówi ze mną, jest jednym z lotników polskich. Mówi mi o Moguncji, o Spirze i o Kolonii, mówi mi o Wormacji i o Akwizgranie, powiada o wzgórzach nad Renem i o samym Renie. Są to wszystko rzeczy znane mi z historii, którą niegdyś studiowałem, znane z wyliczeń turystycznych, które w innym czasie odbyłem. Pamiętam chłód kościelny starej, romańskiej Spiry, i Akwizgrana z prochami Karola Wielkiego, i gotycki tum Kolonii, i średniowieczną, cesarską Wormację Hohenstaufów. I wreszcie pamiętam Ren. Pamiętam go jako wspaniałą rzekę, malowniczo toczącą swe wody pomiędzy wzgórzami, po których pnie się winnice, u których podnóży osiadły bogate miasta, a nad których szczytami zapanowały rozpadliny burgów i zamków rycerskich. On ją zna jako szlak polski, który, służąc do orjentowania się w drodze. On zna całą Nadrenę inaczej. Dla niego niema ani średniowiecza, ani Lorelei, ani Heinego, ani uśpionych cesarzy w Spirze i w Moguncji. Dla niego istnieje Essen, miasto zakładów Kruppa, i Mannheim z I. G. Farben-Industrie, i Bremen z Fokke-Wulff-Werken, i Ham z centralą przedludkową. Dla niego niema zamków i niema katedr; są obiekty wojskowe i obiekty przemysłowe. Niema przeszłości: jest teraźniejszość. Niema historii: jest tylko przemyśl. Niema ani rozslonecznionego dnia, ani nawet jasnego wieczoru, podczas którego

die Luft ist kühl und es dunkelt
und ruhig fließt der Rhein;
die Ufer des Berges funkelt
im Abendsonnenschein.

a zła jest nawet noc księżycowa, pełna poświaty, taka jaką wielbili poeci i w jakiej kochała się poezja narodów. Jego dniem jest noc czarna, im ciemniejsza tem lepsza, im ciemniejsza tem szczęśliwsza. Taka właśnie noc owija go bowiem jak w opończę, przyszyja w czapkę-niewidkę. W taką noc zdradza go tylko loskot jego motorów, w taką noc nie wyszpera go po niebie światło najpotężniejszego reflektora, nie otoczą go wieńcem różnobarwnych ogni lotne rozpryski pocisków, a poświadczyć niemiecki, wysłany za nim, przeleci wokół jego kadłuba i nie dostrzeże go wcale, albo dostrzeże za późno. Oto noc, do której ten człowiek i ludzkie jemu podobni wzdychają, a nie jemu podobni romantycy, którzy wyciągają do tych noc, w których księżyc wszystko cieniuje, wyczerpia i wysrebrza, a ciemność mu nie szkodzi. Mimo ciemności szlaki rzek są zawsze dosyć jasne, jezior i stawów świecą naprzekór „blackout”om, a ulice zachowują z góry dla polskości swoich asfaltów. Widać więc dokładnie by móc rozpoznać, odnalezienie, spuścić ładunek bomb. Na to jest



Ładowanie amunicji

lotnika bombowego w wielogodzinnym locie nocnym. Nie; tu wszystko jest inaczej.

My, ludzie ziemi, znamy tego lotnika jak zna się jastrzębia i żorawia szubującego na wysokościach lazurowych w niezmąconej, majestatycznej spokoju. Widać go w mrok jak w opończę. Wygaje się nam bezpiecznie, niedościgniony dla pocisków, nieuchwytny dla reflektorów. Poranne wiadomości w dziennikach o tyłu to a tyłu strąconych Messerschmittach 110, albo Ju 88 albo Do 215, wydają się nam papierowe, nieistotne, drugorzędne, wobec widoku domów spalonych, przegrodzonych ulic i wywalonych jam. Ale jeśli chodzi o wypadki nie na Anglię, ale na Niemcy, trzeba sobie to wszystko chyba dziesięciokrotnie pomnożyć. Londyn leży o kilkadziesiąt kilometrów w linii powietrznej od lotnisk niemieckich; Berlin jest o kilkadziesiąt kilometrów od brytyjskich. Podziś dzień jeszcze obrona przeciwlotnicza niemiecka, przygotowana na długo przed tą wojną, od roku rozporządzająca całą przemyślową europejską, gdy my dopiero za pół roku odczujemy dość wydatnie pomoc amerykańską, jest wielokrotnie potężniejsza od brytyjskiej. Jej reflektory mają dalej większą siłę światła; na jej działa przeciwlotnicze natrafia się częściej; wszystko to tworzy nad Niemcami zapórę wielokrotnie liczniejszą, bardziej najęzowaną, potężniejszą. Nad temi Niemcami wreszcie trzeba lecieć dłużej, nieskończenie dłużej. Lot Wellingtona jest powolny, tragicznie powolny. Dopiero obecnie zaczyna już latać nowoczesniejszy, potężniejszy, wiecie bomb udźwigujący typ. Już u wylotu znad wyspy brytyjskiej na morze, w zmierzchu wieczornym patrolują w chmurach myśliwce niemieckie; już od płaskiego brzegu Holandii, dobrze widnego na tle morza, od białego ogryzka Helgolandu, zaczyna śmigać po niebie światło reflektorów i grzmieć piekło artyleryjskie...

Trzeba raz ujrzyć naloży nocne nie od strony ludzi ze schronów i miast, ale od strony lotniczej. O, wtedy to nie jest rzecz taka łatwa, taka prosta, to zrzućcie ładunek i odłot niepostrzeżony, pod beżsilnym poszukiwaniem światła i ślepego waleniem artylerii! Wtedy to jest inaczej. Są to długie, długie godziny, w mroku nocnym wokoło, w migotliwym niepoemnie półświecie wnętrza maszyn, w zapalaniu się na dole światła reflektorów i smug artyleryjskiej kanonady, coraz bliżej, coraz lepiej uchwytujący cel. To znaczy, ten samolot i tych kilku w nim ludzi. „Jakbyś łaka światła rozpocierała się naraz pod nami; czerwone, niebieskie, żółte, pomarańczowe” — opowiadał ktoś. Oto widać apokaliptyczną nowoczesnej wojny przeciwlotniczej, tej o której nie śniło się strategom. Oto coś tak odległego od wyobrażeń biurowych, jak antyczny bagiet od nowoczesnego motocykla ognia pichoty niemieckiej. To podmuchy gwałtownie rzucające samolotem; wybuchy bliskie pocisków. To orgia nieustająca ognia. Nawet jeśli nie uszczęknę kilkadziesiątmetrowego celu jakim jest każdy samolot, nadzaruje nerwy nawigatora, pilotów, obserwatorów, radiotelegrafistów, wszystkich. I jak nadzaruje! Temu że nadzaruje i że o tem śmiemy pisać, niech się gorszy tylko rymoproduktor bohaterkich wierszy, dyżurnyjący stale w głębi najdoskonalszych schronów. Człowiek, człowiek prawdziwy, niech zrozumie, że właśnie bohaterstwem tych ludzi, bohaterstwem nie konikowem czy szabelkowem, ale bohaterstwem naszego wieku, jest to, że

mimo tego piekła ognia ci ludzie pamiętają o kierunku, o wysokości, o radju, o stu skomplikowanych i koniecznych rzeczach, że ich mózg nie przestaje pracować, że panuje nad instynktem i nad nerwami. Dodajmy do tego tlen. Na wysokości, na



Powrót myśliwców polskich na lotnisko po wykonaniu zadania

której ci ludzie latają, trudno pracować inaczej niż na tlenie. Ale taka tlenowa praca organizmu kosztuje, męczy, wyczerpuje jak nic. Sprawdza, w chwili najważniejszej, groźny bezwład snu. Do tego dodajmy zimno. Co z tego, że są środki



Mechanik pomaga zapiąć pasy. Ze chwilę lotnik wystartuje do walki

służące do utrzymywania odpowiedniej temperatury. Co z ciepłych butów, kombinizonów i nie wiedzieć czego? Co z owych termosów zabieranych z sobą! Widziałem palce, ich palce onegdaj — w pełni majowych nocy — podczas lotów na Berlin, Hamburg czy Mannheim. Kto z nas, ludzi ziemi, podczas nocnych nalożów, myśli o trudzie śmiertelnym lotnika, który tam w górze odmraża sobie ręce? Czemu się wtedy dziwić, że po locie nie można doliczyć się maszyn i że na liście pilotów dorastają przy nazwiskach niewielkie czerwone krzyżyki? Po locie, o którym my z prasy wyczytamy tylko że „ubiegłej nocy lotnictwo brytyjskie dokonało szeregu bombardowań”, lub że parę maszyn „nie wróciło do swoich baz”.

Dlatego, trzeba zrozumieć, że wobec wysiłku mózgu, nerwów i woli tych ludzi, po woli zapadł na nich mrok, w którym ginie bez śladu i katedra mogułka i kolonośka, i szlam Menu i Renu, i świat hanzeatycki Hamburga, i kraj zamków i winnic, Palatynat, i Spira cesarska, i Wormacja romańska-gotycka, i cały świat średniowieczny, które będąc niemieckim, było europejskim, a będąc europejskim, było i naszym. Trudno, jakże trudno, uświadomić to sobie teraz! Dzieli nas od tego wszystkiego wrzesień 1939, Warszawa spalona i to co było potem. A jednak jeszcze w „Czerwonych tarczach” Jarosława Iwaszkiewicza, jeszcze w jego wspaniałych wierszach o Germanii, snuły się po Polsce błękitne dymy kultu dla owej krainy średniowiecznej, nadreńskiej, klasztornej i uniwersalnej. Pamiętam, jak w tunie kołofiskim składałem wianek kwiatów na grobie Rychezy-Ryksy, królowej polskiej krwi cesarskiej, która odnowiła w Polsce zarazem ołtarz i tron. Byliśmy przeciwnikami świata znad chłodnej i powolnej Sprewy, płynącej smętnie przez cmentarzyska słowiańskie, ale świat Renu był dla wielu z nas światem innym, jakże bliższym od jakiegś słowiańskiego Wolgi. Setki ludzi o nazwiskach niemieckich, Hube, Linde, Estreicher, Brückner, wyrównywali w myśli niemieckiego wykształconego Polaka Psie Pola i komisje wywaszczeniowe, zaborczych Fryderyka, zacięłości Bismarcka. Skończone! Teraz rozorywuje to wszystko, co w noc, od miesięcy, co w noc coraz mocniej, bombowy plug natłuszczył. Polskie bombowce biorą srogi odwet historii. Kolebka Niemiec średniowiecznych, kraj legend Walhalli i pieśni Wagnera, staje się podobną czarną zgłiszczom zamku warszawskiego, w którym szwedzka dynastia Wazów panowała Koronie i Litwie. Za niedne Siedlce pójdzie może Wormacja, a może Spira, za Kutno pójdzie Hamburg, za Radom — Kolonia. Rękami tych ludzi, gdy kręca ową wającą od bomb, począł o to spłacać naród polski niemieckiemu narodowi swój krwawy, wrześniowy

rachunek. Długo trzeba było na to czekać. Żarna wojny, mielące tak powoli jak miela w przysłówiu ludowem żarna Boże, poczynają przecież nareszcie mlec, i mlec będą silniej i silniej. Czas ulotek zrzuconych na Niemcy skończył się niepostrzeżenie. Czas

Commandorem, kandydatem na marszałka lotnictwa w niedalekiej przyszłości, zapewne sirem w niedalekiej nominacji po ukonczonych wojnie, może jeszcze i earlem, viscountem, lordem. — Narodzili się w Polsce, zatem nie będą mieli nic. Nic. Okrom legendy. A może...

Nie trzeba się ludzić. Ta Polska daleka, którąśmy zostawili za sobą, marzy, myśli i mówi o nich, najwięcej o nich. I marynarzach. Żołnierze spod Narviku czy ci z piasków libijskich albo z Wogezów powrócą odziani w dostojność szarych mundurów, w cierpienie swego bytu żołnierskiego. Dla Polski, która powstała, ci z powietrza będą tem czem dla Polski napoleońskiej byli ulanis pod Samosierry. W owym dniu wszystko będzie czepliło się skrają kombinizonów lotniczych, tych najbardziej podartych, najbrudniejszych od smarów, spalenizn i wytarc. I mundurów najbardziej szarych.

„Battle-dress” będzie istic monaszyim strojem. Ci piloci, którzy nie zawsze mają na wyjazd na urlop, rzadko nieraz na papierosy, ci najwzniejsi tutaj w pojnowaniu całego narodu, wtedy samotni nie będą.

Świat uzna, a historia zatwierdzi, że w najtrudniejszym boju narodu polskiego oni



Mechanicy przy pracy

najwięcej dokonali by naród wyzwolić, że każdy ich lot był wojennie bardziej płodny, niż śmierć męczeńska całych dywizji gdzieindziej, że każda ich bomba robiła więcej niż najtragiczniejsze szarże kawalerii, niż niegdyś wszystkie plany olbrzymich

szarów, ministerstw wielkich, marszałków. Będą kiedyś błogosławieni na zawsze majem polskich pól i jesienią polskiego zboża, uśmiechem każdego polskiego dziecka i spoczynkiem wolnym każdego polskiego chłopca, parowaniem polskiej ziemi oddanej nanowu pod plug polski, szumem polskich rzek, płynących nanowu przez kraj wolnych ludzi. I poezja, prawdziwa poezja polska, przekaże każde nazwisko i imię i bój tych ludzi. I powie o nich że byli najsilniejsi, najbardziej ofiarni.

KSAWERY PRUSZYŃSKI.

Oto już drugie opracowanie angielskie, poświęcone zeszłorocznej, jesiennej „Battle of Britain” w której po raz pierwszy ofensywa niemiecka w dziejach tej wojny została odparta, i to ze znacznymi stratami nieprzyjaciela, w materiale wojennym najpierw, w materiale ludzkim następnie. Niedawno ukazała się praca mniejsza ale nader cenna swoją zwiezłością, ścisłością, imponującą ilością danych; niestety, w owem pierwszym opracowaniu o „Battle of Britain” powiedziano tylko tyle o całym naszym wysiłku lotniczym, że obok lotnictwa brytyjskiego walczyli dzielnie także Polacy i Czesi.

Szczęściem, następną książką o jesiennej bitwie lotniczej nad Kanalem i południem Anglii poświęca Polakom znacznie więcej miejsca; Polacy mają tu cztery bite strony, Czesi — dwie, Holendrzy — nieco więcej niż pół. Francuzi — nieco mniej niż pół. Mówi to o tej wojnie proporcji. A ponieważ owe strony polskie są i dla nas ciekawe, przytoczymy je w całości.

Polacy zajmowali, i to z niejednej racji, pierwsze miejsce wśród wszystkich lotników z krajów okupowanych przez Niemcy. Większość z nich pochodziła z dzielnego polskiego lotnictwa, które zostało zaskoczone i zniszczone zniemkaniem na swoich lotniskach przez zdradzieckie uderzenie niemieckie z dn. 1 września 1939 r. Przybyli do Wielkiej Brytanii różnemi i dziwnymi drogami, a ich chęć pomstowania poległych towarzyszy szybko go pognała ich znowu w powietrze. Z polskich pilotów utworzono zrazu cztery dywizyjony; dwa z nich były myśliwskie, dwa bombowe. Działalność myśliwców polskich była szczególnie uwieczniona powodzeniem. Zyskali oni sławę dzięki swej diabelskiej odwadze i determinacji, wyróżniające ich nawet spośród ich współtowarzyszy broni z naszego wspaniałego lotnictwa.

Byli oni w akcji już w lecie, lecz dopiero we wrześniu 1940 r. ich zalety, jako znakomitych myśliwców, zrobiły wrażenie na wszystkich którzy byli świadkami ich czynów. Dn. 2 września przepędzili formację Messerschmittów od Douru do brzegu francuskiego i jeszcze w głab Francji, strącając dwa z nich, a uszkadzając trzech. W trzy dni później strącili cztery Messerschmitty, a prawdopodobnie jeszcze dwa, oraz jeden bombowiec Junkers 88, prawdopodobnie zaś jeszcze drugi. Następnego dnia — 6 września — strącili pięć myśliwców Messerschmittów i jeden bombowiec Dornier, i prawdopodobnie jeszcze dwa Messerschmitty. Dn. 1 września przewyższyli tamten rekord, strącając nie mniej niż dziesięć Dornierów, prawdopodobnie dwanaście, i trzy Messerschmitty oraz prawdopodobnie pięć dalszych. Całkowity ich plan ostatniego dnia — 7 września

*The Battle of Britain 1940. By J. M. Spaight, C.B., C.B.E., late Principal Assistant Secretary, Air Ministry. With the Foreword by Marshal of the Royal Air Force Viscount Trenchard, G.C.B., G.C.V.O. Londyn, Geoffrey Bles, 1941; str. 231 i 1 nl., tabl. 23.

— wynosił więc trzynaście pewnych, siedemnaście prawdopodobnych; sami stracili jednego Hurricane'a, którego pilot wyładował jednak zdrow i cały na spadachronie w Essex. Polski dywizjon, liczący jedenastu lotników, przepędził od ujścia Tamizy przynajmniej czterdziestkę Dornierów, silnie chronionych przez myśliwców, zadając im straty. W cztery dni strącił on dwadzieścia pięć maszyn. Nie poprzestał jednak na tem. Ten sam dywizjon był znowu w akcji 11 września i znowu miał dzień triumfu. Prowadzony przez angielskiego flight-lieutenanta, spotkał i rozbił formację około stu pięćdziesięciu nieprzyjacielskich maszyn, która leciała na Londyn na wysokości 18 000 stop; tu tak nękal nieprzyjaciela, że zmusił go do zrzucenia bomb nad lasami Surrey i Sussex i do uciezki. Ciężko uciერიeli po drodze Niemcy; czternaście ich maszyn — cztery Heinkle, trzy Dornieri, trzy Messerschmitty 110 i cztery Messerschmitty 109 — zostały stracone przez Polaków. Ich angielski dowódca został lekko ranny, a jeden z polskich oficerów zginął podczas tego pościgu. To była całkowita suma ich strat w czasie tego wielkiego dnia pracy.

Dn. 26 września jeden dywizjon polski i jeden brytyjski dywizjon Hurricane'ów rozbiły i przepędziły z powrotem przez Kanał formację stu pięćdziesięciu niemieckich maszyn. Zniszczyli tego dnia dziewięć bombowców Heinklów i cztery Messerschmitty. Następnego dnia Polacy i dywizjon kanadyjski zaatakowali około stu nieprzyjacielskich maszyn na południe od Londynu i strącili szesnaście, w tem Polacy mieli na swym rozkładzie maszyn dziesięć. Dn. 30 września jeden z polskich dywizjonów miał też satysfakcję ze ilości maszyn nieprzyjacielskich strąconych przez niego nad Wielką Brytanią przekroczył liczbę stu; dnia tego przepędził trzydziestkę Dornierów 215 z Beachy Head do brzegu francuskiego, strącając cztery nieprzyjacielskie maszyny. (Tu autor angielski opisuje dość barwnie i zabawnie formę, w jakiej tego wieczoru lotnicy polscy wyrażali swoją radość po tem pięknym zwycięstwie).

„Są oni groźnymi przeciwnikami — powiedział pewien angielski pilot w początkach września. — Kiedy zbliżają się do niemieckich bombowców i myśliwców, podchodzą tak blisko, że można by pomyśleć iż zderzą się”. „Dywizyjony polskich myśliwców strącił przeszło trzysta nieprzyjacielskich maszyn w bitwie nad Wielką Brytanią, jak to stwierdził gen. Sikorski, polski naczelny wódz, dn. 25 listopada. Jeden dywizjon zniszczył sto dwadzieścia w pięć tygodni, jak to podał w przemówieniu radjowem do Kanady dn. 23 grudnia pewien „squadron leader” Kanadyjczyk, przydzielony do tego dywizjonu. „Latanie razem z Polakami dało nam wielkie doświadczenie — powiedział. — Możecie mi zaowierzyć, że ci Polacy byli wspaniałymi lotnikami bojowymi i są nimi wciąż. Wprowadzili oni własną technikę do walki powietrznej. Leca wprost na nieprzyjaciela, wstrzymując ogień doświadczone do ostatniej chwili. Oto w jaki sposób oszczędzali oni amunicję i stracali tylu nieprzyjaciół w każdej walce”.

„Dwa polskie dywizyjony bombowców postąpiły dopiero z końcem sierpnia. Załogi ich brały udział w rajdzie na Boulogne dn. 14 września, czyli w trzy tygodnie później. Następnego dnia otrzymali powininowanie od naczelnego dowódcy lotnictwa bombowego spowodu „skutecznego wypełnienia operacji ostatniej nocy”. Dwa dywizyjony te mają swych własnych polskich dowódców w randze Wing-Commander. Wyposażeniem ich były bombowce średniego typu Fairey Battle, które są w najgorszym razie lepsze od tych, na których niektórzy z nich latali w swem własnym lotnictwie. Maszyny te nie mają dostatecznego zasięgu na długodystansowe loty, i niemiecki wywiad grubo się przeliczył gdy oznajmił przez radio dn. 3 września, że polscy lotnicy brali udział w poprzedniej nocy w rajdzie na Berlin i polecieli dalej do Warszawy. Nie było owej nocy naloży na Berlin, i Polacy nie brali wtedy udziału w żadnym naloży na Niemcy. Nie mogli dolecieć do Berlina na swoich „Battles”, nawet gdyby byli wystartowali”.

Przytoczyliśmy niemal w całości ten długi ustęp, albowiem, o ile te sprawy znamy, po raz pierwszy w książce angielskiej znalazliśmy tyle o udziale polskich lotników w zeszłorocznej walce nad Anglią. Książkę pisał wysoki urzędnik brytyjskiego ministerstwa lotnictwa i opatrzył ją przedmową marszałek lotnictwa brytyjskiego. Nie wahali się oni podać liczby dywizjonów polskich sprzed niespełna roku, zacytować szczegółowych cyfr dotyczących poszczególnych walk, ba, scharakteryzować na czem polega polska technika bojowa, wymienić typ maszyn; uczynili to wszystko, bo wiedzą, że czytelnika nie można karmić frazesami, że trzeba dawać mu fakty; uczynili to, nie bojąc się o „tajemnicę wojskową”. Dlatego autor polski nie napisze choć teraz książki, solidnej, źródłowej, udokumentowanej, o tym wielkim wkładzie wojennym naszego lotnictwa — spyta może czytelnika. Ano, czytelniku, bo niestety, autor polski nie ma tej swobody pisania o tych sprawach, jaka przysługuje autorowi angielskiemu; bo nie wolno mu wyciągnąć nawet takich rzeczy ile było szybkowisk w Polsce, choć na tezy szybkowiskach oddawna siedzą Rosjanie lub Niemcy; bo wymienienie ilości dywizjonów polskich, jakie walczyły rok temu, jest u nas uważane za niedopuszczalne. Operować zaś gołemi frazesami lubią tyfografami; toteż o polskim lotnictwie, które dało wkład wprost kolosalny, niema dotąd żadnej, żadnej książki.

Nie wiem jaki punkt widzenia w tych sprawach jest wojskowo lepszy; brytyjski, który nie na wszystko zapuszcza kotarę tajemnicy, czy polski, który tak właśnie czyni. Z punktu widzenia propagandowego nasz jest jednak oplakany. Powstała u nas — wspaniała zasłużona — epopea 303, i to było słuszne i piękne. Ale w jej cieniu znikły wyczyny i polskich bombowców i reszty polskiego myśliwstwa, a już niemal zupełnie zaginęła wieść o polskich lotnikach w dywizjonach brytyjskich. Patrząc zdaleka ma dotąd wrażenie, że Polska dla Wielkiej Brytanii jeden świetny dywizjon i nie więcej. Gazeta trwa kilka godzin; książka pozostaje. Nasz dorobek zeszłoroczny powinien być utrwalony lepiej niż dotąd. Powinien doczekać się nie jednej, ale szeregu monografii, opracowań, książek, pisanych przez najkady, kwalifikowane siły. (Te, co szorują pokłady). Tym silom dobrze było udostępnić nie tylko stacje, ale dane, archiwa, nawet cyfry. Przynajmniej w tej mierze, w jakiej to nie przeszłością sprawom wojny, i przynajmniej w taki sposób, w jaki to przecież czynią Anglij; im też przecież na tajemnicy wojskowej poniekać zaley. Uczmy się od Anglików. Learn English.

Ks.r.

KSAWERY PRUSZYŃSKI DROGA WIODŁA PRZEZ NARVIK

cena 4/6 (opr.)

do nabycia:

M. I. KOLIN (Publishers) LTD., 9, NEW OXFORD STREET, LONDON, W.C.1 i 28, KING EDWARD STREET, PERTH

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

DOLGONOSIK I ANTYPANSTWOWA BEZMYŚLNOŚĆ

„Dolgonosik”, to po rosyjsku jakiś złezek, wielki wróg plantacji buraków cukrowych, jeśli zaś idzie o antypaństwową bezmyślność, zaraz wyjaśnię ten termin. Sowiecka „Prawda” z dn. 11 lutego b.r. donosi, że na „oblastnoj partkonferencji aktywny kołchozów” wygłoszono referat o konieczności walki z dolgonosikami. Walka ta polega na kopaniu rowów ochronnych. „Prawda” pisze, że niestety, w r. 1940 zarządzanie kopania rowów zostało wykonane z „antypaństwową bezmyślnością. Plantacje pokryto siatką rowów ochronnych dopiero po dokładnym zniszczeniu ich (t.j. plantacji) przez dolgonosika i wywędrowaniu na inne, jeszcze nietknięte, gdzie znów powtórzyła się historia z rowkami”.

Przeczytawszy te ciekawą notatkę, zacząłem, jak sam dolgonosik, dobierać się do wyinków z tej „Prawdy” sowieckiej i teraz potroszę, potroszę rozumien, dlaczego Stalin się boi. Rosja, to kraj na całym świecie najbogatszy w traktory, „kombajny” i inne maszynowne rolnicze. Może sobie pozwolić nawet na wywóz owych maszyn do Iranu, do Chin, do Holandii i t.d. W r. 1940 pracowało w Rosji 523 000 traktorów! Sam sztab inżynierów i techników, zatrudnionych przy traktorach i „kombajnach”, wynosi 40 000! Ale... Ale, jak piszą „Izwestia” z dn. 11 marca b.r., chomąto zużywa się teraz w ciągu trzech lat a dawniej służyło lat dwadzieścia.

Zapewne tego chomąta nie niszczy dolgonosik, ale raczej antypaństwową bezmyślność. A może przyczyną zniszczenia jest nadmierne używanie chomąta? I koni? Praca przy przeladowywaniu rozmaitych transportów w Rosji, zmehanizowana tylko na papierze, jest w rzeczy samej ręczna, paliwo zaś do traktorów wożą po dawnemu poczciwe konie. A jak je wożą?

Przykład 1. Do stacji traktorowej Działkowo dostarczono cysternę nafty, ale spowodu że wszystkie posiadane przez stację beczki były zdurawione, nie można było nafty zlać, niesposób zaś odesłać pełnej cysterny z powrotem. Po długich naradach znaleziono wyjście: naftę sprzedano ludności miejscowej a traktory zostały bez paliwa.

Przykład 2. Pracownicy Litizkiej stacji traktorowej żyli w przekonaniu, że posiadają zapas nafty. Zapas ten rzeczywiście był, ale w pewnym momencie zniknął.

Przykład 3. To samo dzieje się w stacji Dubowskiej. Pod cysterną ustawiono wiadra i inne naczynia, do których nafta ścieka. Kto chce, zabiera ile mu potrzeba. Dowóz nafty do odległej o 40 km od kolei stacji traktorowej Zmiewka odbywa się po wyboistej drodze w otwartych beczkach. Jasne, że część nafty wylewa się w czasie transportu. („Prawda” z dn. 10 marca b.r.).

Nafta wylewa się a chomąta niszczą się, Rosja zaś jest jak dziurawa cysterna. O nauce pisze szczegółowo ta sama „Prawda” z dn. 18 lutego b.r., mówiąc że koszty administracji przewyższają dochód brutto ze sprzedaży produkcji. No, nie dziwota, skoro na jedną tonnę nafty wypada ponad 20 buchałorów. Podobne stosunki panują w przemyśle drzewnym, i np. w r. 1940 każdy przetrząty przez „Narkomles” metr sześcienny drewna przynosił ni mniej ni więcej tylko 12 rb straty. W Aserbadzkiej Z.S.R.R. dzieje się nie lepiej, „Prawda” bowiem pisze otwarcie, że każda tona wydobytej ropy i gazu już dawno przekroczyła dopuszczalne granice deficytu i przynosiła milionowe straty zamiast milionowych dochodów... (numer z dn. 19 lutego b.r.).

Względem z tą naftą cuda się dzieją, i niemi jej właśnie w okęgach naftowych. Np. w szczytniejszym okręgu naftowym w styczniu b.r. traktory i dźwigi nie pracowały przez cztery doby spowodu... braku paliwa do motorów Diesla. Czekało na przydział paliwa z centrali, a nikomu nie przyszło do głowy pobrać paliwo z własnej produkcji, jako że nie było „zarządzeń” w tej mierze... (numer z dn. 18 lutego b.r.). Ot, antypaństwową bezmyślność!

Amunicja? Ah, to zupełna farsa! Narkomatu. Siergiejew rozkazał nr 203 polecił fabryce nr 176 uruchomić dział taborowy w celu nr 4. Rozkaz ten podpisał narkom, dn. 5 czerwca 1940 r. ekspedycja zaś otrzymała go do wysłania dn. 7 lipca... To nie, ale jako termin rozpoczęcia eksploatacji wyznaczono dzień... 8 czerwca.

Inny rozkaz tegoż narkoma, cytowany przez „Prawdę”, rozkaz nr 151, z datą 4 maja 1940 r., nakazywał przedstawienia do zatwierdzenia projektu zabezpieczenia fabryki na termin... 29 kwietnia 1940 r. Nie dziwmy się więc, że redakcja dziennika sowieckiego dodaje uwagę: „Najwyższy czas, aby narkomaty skończyły z taką zabawą w kierownictwo”. Gdzieindziej uwaga brzmi ostrzej: „Wybierać ludzi wartościowych a nie zarozumiałych balwunów i niedołęgow, którzy dają się bujać a są jeszcze z tego zadowoleni”. Nie wiadomo, czy tow. Siergiejew jest balwunem czy także i niedołęgą, wiadomo jednak, że dolgonosik dobrał się do całego przemysłu w Rosji, m.in. i do ciegiego. Np. nowoczesnie wyposażone zakłady „Zaporozstał” stanowią istne emmentarszko wszelkich urządzeń atomowych, których 40% nie działa. Przyczyny? 1) Nie potrafiono ich uruchomić, a właściciele próbowano je uruchomić sposobem domowym (kustarnym). 2) W skombinowanych agregatach nie robiono analizy gazów. 3) Specjalne przyrządy do analizy gazów leżą w składach nie rozpakowane, gdyż uznano, że można się bez nich obyć. 4) Nie umiano zmontować nowoczesnych, bardziej skomplikowanych przyrządów. 5) Na terenie „Zaporozstał” panuje niesłychany brud i zanieczyszczenie. 6) Maszyn się nie czyści, gdyż robotnicy nie umiają się z nimi obchodzić. 7) Używa się niewłaściwego paliwa i nieczystego surowca. 8) Remonty przeprowadza się „na dziko”. Chyba tych przyczyn już wystarczyć.

Wstrzymuję się od komentarzy, i poproszu

wystarcza mi przepisywanie także „na dziko”. Może czytelników zainteresuje kwestia, jak kradną w Rosji sowieckiej. Znowuż szczegóły, podane przez „Prawdę”. Zakłady metalurgiczne w mieście Stalino (Donbas) odpredały przedziałni w Korsuniu, „piszczetorgowi” w mieście Stalino i... teatrowi dramatycznemu w mieście Stalino materiałowy za pół miliona rubli. Jako b. dyrektor teatru zachodzący w głowę, na co tej staliniejszej scenie potrzeba było aż tyle metalów!

Omska kolej żelazna „prywatnie” odpredała blachę do krycia dachów, żelazo, gwoździe, oliwę, budulec i t.p., podczas gdy tuła między w Średnim Uralsku odpredały jakiejś instytucji, która nazywa się „Cwietsmietsnab”, armaturę wodną za 100 000 rb, odkupując zaś ją z powrotem dnia następnego, dopłacając „tylko” 11 000 rb.

Czasem jednak państwo robi doskonale interesy na maszynach znalezionych... Istotnie, co pewien czas w drodze szerszego traktu można w Rosji znaleźć maszyny, i to nawet tysiące maszyn. Tak więc pisze „Prawda”, że na terenie fabryki nr 61 (taka fabryka także ma numer 1) w mieście Lipieck dn. 14 stycznia b.r. znaleziono „przypadkowo” pod śniegiem 70 obrabiarek elektrycznych, całkowicie „jeszcze” nadających się do użytku... Wypadek nieodsoobniony, ale raczej z gatunku odkryć codziennych. Oto („Prawda” z dn. 20 lutego b.r.) w zakładach przemysłowych maszyn tylko Charkowa komisja znalazła 400 takich „stojących” obrabiarek, 200 elektromotorów, 50 transformatorów oraz 800 pomniejszych maszyn.

Jeszcze trochę cyfr, dotyczących uruchomienia przemysłu, który rzekomo pracuje pełną parą. Według powszechnego spisu z dn. 1 października ub.r., było nieczynnych w zakładach przemysłowych Z.S.R.R. 46 000 warsztatów mechanicznych i 8000 warsztatów kowalskich. Były one nieczynne spowodu niezmontowania. Nadto dow spisu wymienia 70 000 warsztatów mechanicznych i 15 000 kowalskich, które były nieczynne spowodu uszkodzeń. Cyfry te nie są ściśle, jak pisze „Prawda”, gdyż nie uwidaczniają one maszyn, zakwalifikowanych na złomie i in., których liczba w przybliżeniu dosięga znowu 70 000! Oto obraz tego przemysłu pracującego pełną parą.

Jakże też robotnik sowiecki żyje? Pisaliśmy niedawno o propozycji pewnych idei słowiańskich, że Rosjanin żyje jak zwierzę i że nie ma żadnych potrzeb. „Prawda” dorzuca pewne szczegóły. Wieg w zakładach magnitogorskich niesamowity brud panuje nie tylko na terenach ale i w samych gmachach i budynkach. Pomiędzy ciechem nr 1 i ciechem nr 2 znajduje się t.zw. terytorium sporne, do którego żaden ciech nie chce się przynależać, ale to im nie przeszkadza uważać spornego terytorium za śmietnik. Powstały tam prawdziwe dzikie pola, utrudniające robotnikom dostęp do pracy.

W zakładach koleżnińskich panuje taki brud, że wyprodukowane spławy i stopy trzeba wyrzucać jako „zapaskudzone”. Przemiottnik „zapaskudzone” występuje w każdym z 870 protokółów oficjalnych. Nie pomagają t.zw. „dni czystości”, i np. w Alpajowie po kilku takich uroczystościach a kolejnych „dniach” komisja inspekcyjna nakazała usunąć z terenu tych zakładów 2500 wagonów wszelkiego śmiecia i nieczystości. Zakłady metalurgiczne „Raboczi Metalist”, fabryka remontu parowozów i zakłady budowy maszyn drogowych, odznaczają się „niepowszednim stanem zanieczyszczenia”.

Śmrad bije od tych głosów „Prawdy” sowieckiej! Przysięgam zatem skoiei do innych spraw. Może ktoś ciekawy, ile się pisze w urzędach sowieckich, powiem zatem, że np. narodowy komisarz rolnictwa może pochłubić się ilością 113 000 pism w jednym roku! Czasem dla odmiany jest w ruchu telegraf: naczelnik politycznego komunikacji kazał sobie przedstawicieli personalia stachanowców i udamków pracujących w jakiej fabryce, na co on przyszedł w odpowiedzi 47 depesz, zawierających razem 215 000 słów. „Prawda” dodaje, że gdyby ta depesze nie szły drogą służbową, koszt ich wyniósłby 161 032 rb.

A jak urzędują? Kolegium narkomatu zwołało posiedzenie w sprawie transportu środków, na którym miano rozpatrzyć 102 punkty. Rezultat? Rozpatrzone tylko 7! Było to posiedzenie 62-e rozpru! W jaki sposób ten przemysł i całe państwo trzyma się kupy? Jak wygląda oświatowa „kooperacja” sowiecka? Mały przykład: gorkowskie zakłady samochodowe korzystają z pomocniczych dostaw przeszło trzystu fabryk, znajdujących się w przeróżnych okęgach i republikach Z.S.R.R. Tak więc uszczelnienia są z Leningradu, brezent z Sierpuchowa, wyroby z masy plastycznej z Moskwy i t.d. i t.d. Nadto, gorkowskie zakłady budowy maszyn

otrzymują metale z Ukrainy i z Uralu, jednocześnie zaś te same metale są masowo wywożone z teje Gorkowskiej oblasti... na Ural! Jeszcze lepszy objaw kooperacji: w zakładach budowy traktorów „Stalinski Traktorny Zawod” w grudniu 1940 r. do ostatecznego wykończenia 800 traktorów zabrakło kabelków stalowych (wartości 25 kop. każdy), których to kabelków nie dostarczyła fabryka zaopatrzenia pomocniczego. I tych 800 traktorów nie skończono! Stały, stały i stały miesiącami! Tymczasem kabelki były, ale fabryka pomocnicza wysłała je innym zakładom przemysłowym, które kabelków nie potrzebowały i nawet nie mogłyby zastosować ich we własnej produkcji.

Oczywiście, to co przepisuje, stanowi za ledwie próbkę bez wartości, ale nawet po krótkim zastanowieniu się nad przytoczonymi faktami nie zdziwi nas bynajmniej, że np. Orłowski Zakłady Budowy Parowozów nie wypuściły w r. 1940 ani jednej lokomotywy. Zrozumiemy łatwo i inne fakty, więc przedewszystkiem to, że Stalin się boi.

Cały przemysł jest ofiarą złośliwego dolgonosika i antypaństwowego bezmyślności. Obawa przed „skostnieniem” wywołuje powódź nie tyle wynalazków ile nazw rozmaitych przyrządów. Jakąś fabryką charkowska ma tych nazw dwa tysiące, każda zaś z nich oznacza przyrząd znany dawno lecz zmieniony odrębnie przez genjalnych konstruktorów, którzy obawiają się zarzutu „skostnienia” i konserwatyzmu. Pod tą błagą przemysłu rosyjskiego kryje się pustka. Sami piszą, że praca odbywa się „w pustyni”. Czytajcie „Prawdę”, widzimy balagan, kłamstwo, fałszywe wykresy, załogłości, nieudolność, frazes, lenistwo, brud. Czytajcie „Prawdę”, musimy zatkać nos. To nie pomaga. Trzeba otworzyć okno, albo wybiec na ulicę, krzycząc: „Powietrza! Powietrza!”.

Atmosfera moralna? Według tej samej „Prawdy” (z dn. 20 lutego 1941 r.) premje za usprawnienie produkcji otrzymują nie inżynierowie, nie robotnicy czy majstrowie, ale 1) sekretarze partyni, 2) kierownicy partorganizacji, 3) pracownicy wyrzuceni ze związków zawodowych i 4) redaktorzy „stien-gaziety”. Objawem tych kryminalnych stosunków jest m.in. i to, że kierownicy partkomów są na utrzymaniu dyrektorów przedsiębiorstw, czyli zamiast kontrolować innych dyrektorów, pomagają im w najbardziej wyrafinowanych oszustwach.

„Ideowość” robotnika? Pisze znowuż „Prawda”, że szoferom i kierowcom traktorów zależy na tem, aby ciężarówkę i traktory znajdowały się jak najczęściej i jak najdłużej w remoncie, wówczas bowiem ich zarobek dzienny jest większy niż wtedy, gdy maszyną pracuje. Rezultat? „Prawda” pisze, że większość robotników wypełnia ledwo 40% swej dziennej pracy. Nie jest to wcale tak gorszące, jeśli zważymy, że pewne fabryki wypełniają jeszcze mniej dziennej normy, bo zaledwie 26%.

Przepasam czytelników za ten suchy jak pieprz artykuł, który przecież chciałbym zakończyć w nieco weselszy sposób. Opo-wiem zatem historię narkoma, tow. Dukielskiego. Ekonomiczna Rada Związkowa dn. 7 marca b. r. nakazała tow. Dukielskiemu przedstawić na dzień 7 kwietnia projekt reformy żeglugi na morzu Kaspjskim. Tow. Dukielski spóźnił się z tą pracą i zażądał przedłużenia terminu o miesiąc. Drugiego terminu także nie dotrzymał, ale Rada Ekonomiczna zapomniała o całej reformie, i posłano urgens tow. Dukielskiemu dopiero dn. 11 listopada. Czyli minęło już zgrza pół roku. No, nie tak wielka zwłoka, zwłaszcza że sprawę określono jako nagłą. Cóż dzieje się dalej? Tow. Dukielski, od którego zadają projektu reformy, reaguje na urgens notatką, która wysłała do biura planowania. Notatka brzmi „Gdzie jest projekt?”. W miesiąc później, dokładnie dn. 11 grudnia, notatka dociera do biura planowania, a notatka dn. 2 stycznia 1941 r. wysłała ją do naczelnika wydziału eksploatacyjnego, który znowuż ze swej strony po upływie dwóch tygodni zwraca się po wyjaśnienia do... tow. Dukielskiego. Minęło okragłych dziesięć miesięcy. I żegluga na morzu Kaspjskim nie jest dotąd... zreformowana.

Przypuszczam, że takich tow. Dukielskich znajdzie się więcej w Z.S.R.R. Doprawdy, tow. Stalin ma się czego bać. Znowcy stosunków sowieckich dodabły jeszcze jedną uwagę, tę mianowicie, że „samokrytyka”, uprawiana poziom „Prawdę”, świadczy raczej o wyższym poziomie krytykowania działań przemysłu i fabryk. Tych fabryk i tych dziedzin, które przedstawiają się jeszcze gorzej, krytykować w Rosji nie wolno.

Sadzę, że ta drobna uwaga znakomicie uzupełnia obraz.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglii aby zwracali się z zaufaniem ośobiście lub drogą pocztową z receptami i z wszelkimi zapotrzebowaniami farmaceutycznymi lub medycznymi do składów aptecznych:

John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1 (służba dzienna i nocna)

Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1

Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1

wszystkie pod ścisłą kontrolą

SAVORY & MOORE LIMITED

Aptekarzy Jego Królewskiej Mości

143, New Bond Street

LONDON

W.1

ZBIGNIEW GRABOWSKI

NOWY STRASZLIWY ŚWIAT

Poważny procent książek, które pojawiają się na rynku angielskim, dotyczy Trzeciej Rzeszy. Ta podaż dowodzi, że zaciekawienie publiczności niemieckim nie słabnie. Będzie — w razie gdy postara się pochwycić inicjatywę — w Rosji, gdy Hitler wywiesi jeszcze jedną flagę — bojownika proletariatu Eurazji. Rzesza — trzeba to sobie powiedzieć jasno — jest groźna nawet w momencie zachwiania się jej potęgi wojskowej; potrafi ona jeszcze wtedy próbować podnieść sztandar rewolucji czerwonej na kontynencie. Trzeba pokonać Rzeszę tak dokładnie, żeby rewolucja na kontynencie nie była rewoltą na rzecz Niemiec.

O ile książki o Niemczech, ogłaszane na wstępie wojny, przepelnione były złudzeniami i wszakliwym „wishful thinking”, a oburzenie na Rzeszę było natury dosyć problematycznej, o tyle pojawiające się dzisiaj są nastrojone na nutę powagi. Książki angielskie o Trzeciej Rzeszy pisane są dzisiaj z ukrytą pasją, której dawniej dawno byłoby szukać. Ale i dzisiaj jeszcze można odnaleźć sporo wyznań słabości, rażących błędów oceny, chętnie ucieczki w krańce złudzeń, nierozumienia ogromu zagadnienia, z jakim mamy do czynienia.

Niedawno „News Chronicle” zamieścił szczerzy i dobitny artykuł, w formie listu Anglii do Ameryki. W liście tym znalazło się ucieżne przyznanie: przez pierwsze miesiące wojny lekceważyliśmy przeciwnika, nie chcieliśmy uwierzyć, ażeby ambicje Hitlera szły aż tak daleko, ażeby siła jego ramienia była aż tak groźna. Dzisiaj widzimy już rozmiary walki, dostrzegamy, że zagraża on samym podstawnemu już nie tylko Anglii ale Imperjum Brytyjskiemu.

Rozoznienie, że w ciągu dwóch ostatnich stuleci Anglia miała do czynienia z dwoma przeciwnikami na największą skalę: Napoleonem i Hitlerem są to bodaj równocześnie najgroźniejsze przeciwnicy w całej dziejach Anglii, jeszcze bardziej wzmógł głód wiadomości na temat Niemiec. Piszą zatem wszyscy, którzy mają cokolwiek na ten temat do powiedzenia; jeżeli chodzi o emigrację, sprawiedliwość każe przyznać, że najwięcej krzająty się Niemcy. Emigracja niemiecka nie tylko ma za sobą kilkanaście dobrych książek na temat hitlerizmu, ale też najłatwiejzy ze wszystkich emigracji wstęp do pism i czasopism angielskich. Ona też wydaje najlepiej redagowany dziennik „Die Zeitung”, wobec którego pisma codzienne innych narodów przedstawiają się blado, jeżeli już nie zdecydowanie prowincjonalnie.

Tak się złożyło, że trzy książki, które przypadkowo czytałem niedawno, dają pewną całość jeżeli chodzi o zagadnienia Trzeciej Rzeszy. Wszystkie trzy wyszły spod pióra dziennikarzy; dziennikarze czynią dzisiaj rzetelną konkurencję dyplomatom i piszą na akord wspomnienia i próby polityczne. Mają do tego wszelkie prawa: podczas gdy dyplomaci mogliby dać swoim wspomnieniom zbiorowy tytuł „Failure of a Mission” (którym Sir Neville Henderson ozdobił swoją blask i zdejerjontowaną, jak on sam, książkę) lub „Mission of a Failure”, nieznikarke mogą naogół powiedzieć swoim czytelnikom: a co, nie mówim? Okazuje się, że publiczność, przesyciona urzędową blagą i dyplomatycznym cienkusem, lgnie instynktownie do moenych a szczerzych wyznań dziennikarzy. Czuję, że jednak mieli oni spora rację w przeszłości i że i dzisiaj mówią prawdę w oczy. Publiczność rozumie, że świat dzisiejszy spowiada się częściej ustami

ludzi prostych aniżeli t.zw. szczytów i że dziennikarstwo, utrzymując łączność z różnymi warstwami społeczeństwa, są bliżej prawdy, aniżeli przedstawiciele warstw, którym przywileje i dawne splendory zamykają wzrok na groźną wymowę życia.

Pierwsza książka, nad którą chciałem się zatrzymać, to M. W. Fodora „The Revolution Is On”. Fodor, korespondent wiedeński „Manchester Guardian” napisał swoje dzieło czasu rzec p.t., „South of Hitler”, gdzie dał dosyć powierchowej ale żywy obraz ambicji Hitlera wobec Austrii i dalej na południe od Wiednia.

Fodor nie jest dziennikarzem wysokiej klasy i dlatego kokietyje dziennikarstwo dobrej rangi: pochwali się parę razy, że zaprzyjaźniony jest z Dorothy Thompson, jednym z najpierwszych dziennikarzy świata, kobietą odważną, wizji, gorącego serca. Dorothy Thompson napisała też wstęp do tomu Fodora z wyraźnym zażenowaniem.

Istotnie, książka Fodora jest „mixtum compositum”, przyczem w części opisowej Fodor wykazuje brak talentu pisarskiego, plastyki, ekspresji, w części teoretycznej daje składankę. Ale i w tej mieszaninie znajdziemy uwagi ciekawe: okazuje się, że Fodor miał sporo słuszności gdy przewidywał już w r. 1937 zbliżenie sowiecko-niemieckie na zasadzie prawa „współpracy gangsterów”, gdy podkreślał parę lat temu — w książce „South of Hitler” — że próbą ognia dla stosunków sowiecko-niemieckich będą dopiero Dardanele.

Szkoda, że myśli Fodora są stale niemal niedomyślane. Ale zasadnicza idea, wokół której zbudował — czy raczej za-niemierzał zbudować — swoją pracę, jest słuszna: na kontynencie eurazjskim mamy do czynienia z ruchami rewolucyjnymi, którego jedno skrzydło stanowi bolszewizm, czyli komunizm sowiecki, drugie — narodowy socjalizm, czyli komunizm niemiecki. Oba ruchy są rewolucyjnymi, bynajmniej nieukończonymi, wyrazami

rewolucji, które wyrażają się w odwróceniu kapitalizmu, od zasad dawnej kultury, religii, w równaniu w dół, w tworzeniu nowej elity rządzącej (biurokracji partyjnej), w wychowaniu młodzieży na sposób jan-carski — nie jest procesem zamkniętym i wyzerpanym. Może to być raczej wstęp do olbrzymich przemian, które owładną światem.

Teza ta jest w zasadzie słuszna. W Europie nie doceniano stałe faktu, że hitlerizm jest rewolucją: można nazwać tę rewolucję produktem mieszczańskim, wybitnie pozbawionym natężenia wyższego rzędu, rewolucją nie-universalną, w przeciwieństwie do rewolucji francuskiej; z rewolucji francuskiej wyszły hasła ogólne, brzmiały zrozumiale dla wszystkich, z tej — hasła ciasne, hasła rasowo ograniczone, partyjnego ghetta i niemieckiej pychy. Nie doceniano prężności rewolucji niemieckiej a przeceniano siłę czerwonej rewolty. Kapitalizm zachodni zatracił wdech: szedł na lep pokus Berlina, w lek przed Moskwą (podobnie czynił kapital niemiecki, dowodząc, że kapital zagubił zdrowe instynkty). Moskwa obiecywała rewolucję na św. Jura, Berlin działał ze stoporem. Moskwa pomyślała G.P.U., akcją wyrotową zagranicą, ale Berlin zaczął to wszystko wycinać „Gestapo”, organizacją Niemców zagranicznych, dywersjami piętę kolumny, wobec których próby międzynarodówki komuni-

1) The Revolution Is On. By M. W. Fodor. Londyn, George Allen & Unwin, 1941; str. 237 i 31n.

stycznej przedstawiają się nikle i blade. Jako ośrodek rewolucyjny Berlin jest groźniejszy niż Moskwa: był, jest i będzie. Będzie — w razie gdy postara się pochwycić inicjatywę — w Rosji, gdy Hitler wywiesi jeszcze jedną flagę — bojownika proletariatu Eurazji. Rzesza — trzeba to sobie powiedzieć jasno — jest groźna nawet w momencie zachwiania się jej potęgi wojskowej; potrafi ona jeszcze wtedy próbować podnieść sztandar rewolucji czerwonej na kontynencie. Trzeba pokonać Rzeszę tak dokładnie, żeby rewolucja na kontynencie nie była rewoltą na rzecz Niemiec.

„Hitler's „New Order” in Europe”, skrócony przez znanego publicystę gospodarczego Paula Einzig²⁾, jest pracą godną polecenia, solidną, trzeźwą, nie polującą na efekty. Niema w niej polotu, ale jest poważny, przejrzysty wykład.

Einzig zastrzega się, że praca jego nie jest essemem politycznym, ale jest rzeczą jasną, że te dwa zagadnienia są nierozdzielnie ze sobą związane i że dobry szkie gospodarczy stanowi z konieczności przyczynek polityczny. Einzig analizuje zasady niemieckiego „nowego ładu”, ażeby dojść do wniosku, do którego doszli już przedtem publicyści polityczni: „nowy porządek”, to chęć ustalenia ładu kolonialnego, powołania do życia na kontynencie Europy plantacji niemieckich. Jest faktem, że na długo przed wojną Niemcy przyznawali się, iż zagadnienie kolonii zamorskich jest dla Rzeszy sprawą drugorzędną i że w rzeczywistości Niemcy są potęgą „pur sang” kontynentalną, a zatem — muszą mieć swój obszar kolonialny w Europie. Wymachiwanie chorągiewką kolonialną, tworzenie Ligi Kolonialnej, montowanie armii kolonialnych, było robotą na dalszy dystans. Oczywiście, Rzesza nie zrezygnowała ze swoich ambicji kolonialnych, uważając, że gdy opunie kontynent, kolonie przypadają jej niejako automatycznie. Dzisiaj Rzesza zdobywa sobie odwód kolonialny kosztem — Włochów. O jutro się narażę nie troszczyć, albowiem zawojowanie kontynentu nie jest jeszcze za konieczne, a organizacja kontynentu sprawia Berlinowi więcej kłopotu niż przewidywał.

Einzig wskazuje, że Rzesza dąży do bardzo prostego zabiegu: Niemcy mają się stać ośrodkiem przemysłowym Europy, reszta krajów ma spełniać rolę funkcji tej maszyni. Od lat wiadome było, że Rzesza przepisuje swojej mniejszości w Rumunii, na Węgrzech, w Jugosławii, taką a taką produkcję rolną czy gospodarkę hodowlaną; były to wprawki do owego dyktatu gospodarczego, jaki Rzesza chce narzucić Europie. Dyktat ten jest tak prosty, że aż prymitywny: pewne kraje zamieni się na śpiżnię, na rezerwuarij taniej robotnicy, inne — na obszary napół uprzemysłowane (Czechosłowacja). Oczywiście, Rzesza będzie korzystała z przywileju najwyższej stopy życia, poziom życia w innych krajach obniży się o wiele, wiele procent.

Inni słow, mamy do czynienia z dwójką jakby hierarchią: w Europie istnieje wybrany obszar — Rzesza, w Rzeszy wybrana klasa — partja. Rzesza jest „Herrenvolk”iem sproletaryzowanej i niewolniczej Europy, partja jest „Herrenvolk”iem we własnym narodzie.

Jest to program plantatorski co się zowie. Kolonie niemieckie tworzą się powoli: pierwszy etap, to Polska, przyczem czynnik rządzący Rzeszą wyprowadzą już dzisiaj są, że Polska jest laboratorjum kolonialnem Rzeszy, że tam kształcą się kadry przyszłych plantatorów, że eksperyment general-gubernatorstwa mieć będzie wagę dla całego obszaru Europy, czyli niemieckiego „Grossraum”u. Dzisiaj Rzesza nie ma powodu wstyżać się i ukrywać swoich zamiarów, pamiętajmy jednak, że nieawazę tak było. Hipokryzja stanowiła część składową programu hitlerowskiego i ta właśnie hipokryzja, to wykłamywanie się, to cyniczne „ale przecież ja nigdy nie...”, było najbardziej obrzydliwą stroną akcji niemieckiej. Hitler uważał jednak, że dopiero silny może krzyczeć głośno: dopóki się nie jest dosyć silnym, trzeba kłamać, lgać, kręcić, używać podstępów.

Jeszcze i dzisiaj Rzesza stara się nadać swojemu programowi górne nazwy i przykleić mu szumny napis „nowego ładu”. Niemcy wiedzą, że Europie i światu ciężko jest strawić tego rodzaju „nowy ład”, który jest systemem poniżej średniowiecznego. Walter Darré, minister rolnictwa Rzeszy, powiedział w maju 1940 r. na tajemnym zebraniu wyższych oficerów i partyjników mowę, którą udało się potem zdobyć magazynowi amerykańskiemu „Life”. Darré musi stworzyć nowe niewolnictwo, albowiem musi ona tania wywozić: do tego trzeba taniej pracy, pracy by tak rzec, japońskiej. Poza tem niewolnicy — ciągnie Darré — nie potrzebują kultury, która będzie przewyższała tylko warstwy rządzące — niemieckiej. Takie będzie to nowe średniowiecze niemieckie, kończy Darré, a Ameryka będzie się musiała z nim pogodzić, ażeby nie zadrwiła się własnym złotem.

Arogancja i czelność tego programu jest tak zdumiewająca, że nieodparcie nasuwa się wniosek: Europa jest niezawodnie w wstępie do rebarbarizacji na nieznaną skalę. Jeżeli Anglia wraz z Ameryką nie zahamują pochodu ciemnych sił, Europa stanie się przykładem Azji, barbaria zaleje łąd Europy.

Średniowiecze niemieckie odnosi się nie tylko do akcji na zewnątrz, nie tylko do owego „nowego ładu”. Rzesza jest od lat widownią zjawisk, które trzeba określić mianem powrotu do okresów historii, gdzie polityka spłatała się z sypialnią, gdzie najciemniejsze intrzygi hasały bezkarnie, gdzie mord i trucizna działały automatycznie, gdzie nikt nie był pewny dnia ani godziny i gdzie łaski faworytów zmieniały się jak rogoda. Dwór Hitlera jest, doprawdy, teatrem osobiowego autoramentu. Histeria i podstęp, szamanizm i znachorstwo, magię czarne i najczarniejsze, opary zbrozonego erotyzmu, megalomania i schizofrenia — podają sobie ręce. Jest to świat, dla którego badania trzeba nieładła odwagi.

Dziennikarz niemiecki Felix Gross zna doskonale zakamarki tego straszliwego świata, świata w gruncie rzeczy wschodniego, bizantyjskiego, któryby doskonale zgodził się z epoką Iwana Groźnego, a wobec którego intrzygi na dworze Marii Stuart czy Elżbiety angielskiej wydają się czemś idyllicznym. Wiedza nowoczesna, przemłotłowa przez gangsterizm amerykański, zastosowana została w pełni do wyczynów Trzeciej Rzeszy.

Niedarmo Niemcy były najbardziej zamerykanizowanym krajem Europy.

Gross prowadzi nas w swoim reportażu „Hitler's Girls, Guns and Gangsters”³⁾ przez labirynt intrzy z epoki przed obcięciem władzy przez Hitlera, przez afery von Schleichera, pierwsze dokonania Himmlera, czystkę czerwcową z r. 1934. Reportaż Grossa czyta się jak powieść kryminalną: nie dziwnego, jeżeli Trzeciej Rzeszy są taką powieścią. Poprawny się odrazu: Rzesza powojenna była świetnem przygotowaniem do Hitlera. Rozpasanie korupcji, amoralności, chamstwa, intrzyg, mordów, jakie oglądała t.zw. republikańska Rzesza, było idealną glebą dla wyhodowania Trzeciej Rzeszy.

Albowiem nie ludźmi się: Rzesza od r. 1918 nie jest państwem normalnem. Wstrząsy rewolucyjne, tajne związki, czarne gabinety, intrzygi polityczne, posilkowane mordem, gangrena moralna, która objęła wszelkie objawy życia, — teatr, kino, sztukę plastyczną, najbardziej zdegenerowaną i podłą sztukę, jaką znała Europa, — oto obraz t.zw. republiki. Rzesza rozprzegała się, była targana brutalnymi tęsknotami, była widownią rozkładu, depresji, upadku. Gorączka przegranej nie przetrwała się — skłaniała się w hitleryzmie, który dał generalny upust zakorzenionym w naturze niemieckiej popędom chamstwa, okrucieństwa, sadyzmu.

Ludwig Börne powiedział, że sily despotyzmu Rzeszy będą rosły stale i że zabarwiać się on będzie coraz bardziej na kolor wschodni. Reportaż Grossa potwierdza tę przenikliwą analizę sprzed stu lat. Dwór Hitlera, to dwór wschodni z całym zapachem, nie rzec — odorem, wschodniej przebiegłości, podstęp, miazmy erotycznej. Rauschning w swoich zwierzeniach „Hitler Speaks” dochodzi do tych samych wniosków co Gross — otoczenie Hitlera jest zbiorowiskiem wykołojenów, zbroceńców, atmosfera, jaka otacza wodza Trzeciej Rzeszy, jest atmosferą zatraty, sam Führer, to typ patologiczny, ulegający napadom epilepsji, cierpiący na lenność, zwidzenia noce; Gross opisuje sceny, które są niemal identyczne z analizami Rauschninga.

Zasadniczo praca Grossa nie przynosi nam nadmiernie rewelacyjnego: fakty, które podaje, są mniej lub więcej znane, ale ich układ, zestawienie jest wręcz doskonałe. Jak żywo maluje Gross karierę Goebbelsa, romans jego z Magdą Quandt, jak doskonale oddaje nastroj Berlina sprzed dżajcia Hitlera do władzy! Doskonałe w każdym calu są sylwety magów, jak Eric Hanussen, genialny spiryciarz, pseudoastrolog, którego radził się Hitler, ulegający dale szamanom wszelkiego rodzaju. Hanussena sprzątnął Himmler, obawiający się nadmiernego wpływu tego spiryciarza, którego tryb życia przypominał żywot jakiegoś Rockefellera.

Rzeczy polskie w prasie brytyjskiej

GUSTAW GAZDA.

M. I. KOLIN (Publishers), LTD., 9, New Oxford Street, London, W.C.1 i 28, King Edward Street, Perth

M. I. KOLIN (Publishers) LTD., 9, New Oxford Street, London, W.C.1 i 28, King Edward Street, Perth

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Printed in Great Britain for M. I. Kolín
(Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co.
Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C. 2

Published every Wednesday at 36, Great
Russell Street, London, W.C.1.

SKARBNICA POLSKA

UTWORY SATYRYCZNE

KANTORBERY TYMOWSKI

ODA DO BRZUCHA

Sprężyno życia, wieloletni brzuchu,
Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu,
Tobie, któremu hołdują i trony,
Brzmiały moje strony.

Skrón się odchmurza Olimpijskiego pana,
Gdy piękna Hebe, ugięszy kolana,
Boską prawicą leje ci nektary
Z wulkanu czary.

W obliczu twojem równymi są ludzie,
Ubogi wieśniak w pochylonej budzie,
Mocarz, przed którym sto narodów kłęką,
Ciebie się lęka.

Na twe rozkazy unia się pycha ;
Tys jednym z celów dobrego jest mnicha ;
Nieraz on wspomni nawet przy ołtarzu
O refektarzu.

Ojcie przemysłu, ojcie twórczej pracy !
Daremnie z tobą walczyć chcą próżniacy ;
Leniwa ręka, skoro głód dokuczy,
Robić się uczy.

Naprawdę miłość, gdy żołądek pusty
Koralowemi odzywa się uszy ;
Kupido zimny i Cypryda niema,
Skoro jest niema.

Kiedy pocie żołądek się ścięsi,
Stygnie w nim zapal, przerywa swe pieśni,
I z umieszczeniem za kawał pieczeni
Dramę zamieni.

Niechże o tobie w boju Mars zapomni,
Rzuca oręż rycerze niezlomni,
Złota i twardej niedostępny stali
Mur się obali.

Dyanna srebrne rozpręga już konie,
Puszcza dzień w nocnej ukryty zasłonie,
Twój rozkaz płoszy sen z leniwych powiek,
Budzi się człowiek.

Huczą siekiery, upadają dęby,
Krew ofiar płynie, dym wiję się w kłęby,
I przemysłowego geniusz kucharza
Potrawę stwarza.

Ciąglem o tobie staramiem zajęty,
Poci się rolnik, pracując z bydłem,
Tobie wybite silnym cepem ziarna
Trą ostre żarna.

Wspomnienia młoty iskry sybia

Strupia nożyce i podeszwy skrzypia,
Warczy kotłownik, sprężenne śruby piszcza,
I heble świszczą.

Wiatrak się kręci, prędkie szumią młyny,
Wrą kotły, płoną rozległe kominy,
Goreją piece, kołacz się rumieni,
Garnek sepleni.

Tobie w haracz od kolebki świata,
Gdzie Indus płynie, Nil żyzny i Plata,
Pławia ogromne przez ocean nawy
Drogie przyprawy.

Tobie pęcz tworzy i chłodzące lody,
Jakich nie miały Pellerjowe gody,
Pieni kakao i leje harmelki
Lessel nasz wielki.

Czy Rosengarta smakuje pierogi,
Których żarzących nam mogą i bogi,
Czyli pieniste rozlewam szampany,
Tys wspomniany.

Tys kęsy dzielił z bogami ofiarne,
Tobie polewki Spartan warzył czarne,
A żartok Trybu na złotym obrusie
Niósł móżdżki strusie.

Gdy kartę dziejów odwrócić zbutwiała,
Widzę Lukullów służących ci z chwałą,
Dziś ku czi większej przyjaźni chowa ścisła
Sekwana z Wisłą.

Miejski pasibruch teraz już nie schudnie,
Nie ranek tylko, wieczór i południe,
Wzywa go uszy restauratora
Każda dnia pora.

Schnie gach z miłości blagając nieczuła,
Mędrzec nad księgą, śkapiec nad szkatulą,
Kiedy dwaj głupcy westfalską kielbasą
Śmiejąc się pasą.

Wśród zgłębku miasta i w ustroniu wioski,
Kiedy ty łakniesz, głuche rządzą troski ;
Gdyś sył, swoboda i weselość pusta
Otwiera usta.

Powszechne prawo twoje i potęga
Od możej Zemli do Nigrytów sięga,
Dziś i światu narody na globie
Podległe tobie.

Tobiem poświęcił język mój i zęby,
Służyć ci mojej rozkosz jest geby,
Młó jej czyli parzy się, czy dnucha,
Byle dla brzucha.

KANTORBERY TYMOWSKI.

IGNACY KRASICKI

PIJAŃSTWO

— Skąd idziesz ? — Ledwo chodzę. — Słabyś ? — I jak jeszcze,
Wszak wiesz, że się ja nigdy zbytecznie nie pieszczę,
Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.

— Pewnie wczoraj był wesół, dlatego dziś smutny.
Przejdzie ból, powiedzże mi, proszę, jak to było ?

Po smacznym, mówią, kasku i wodę pić miło.

— Oj, niemiło, mój bracie ! bogdaj z tem przysłowiem

Przepadł, co go wymyślił, jak było, opowiem.

Upilem się onegdaj dla imienia żony,

Nie żal mi tego było. Dzień ten obchodzony

Musiał być uroczysty. Dobrego sąsiada

Nieźle czasem podpoić, jejmość była rada,

Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było,

Cieszyliśmy się pięknie, i nieźle się piło :

Trwała ucsta do świtu. W południe się budzę,

Cięży głowa jak ołów, krztuszę się i nudzę ;

Jejmość radzi herbatę, lecz to trunek małący.

Jakoś kolo apteczki przeszedłem niechaczy,

Anyżek mnie zaleciał, trochę nie zawadzi ;

Napiłem się więc trochę, raczej to poradzi,

Nudno przecie, ja znowu, już mi raźniej było,

Wtem dwóch z ucsty wczorajszej kompanii przybyło.

Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi ?

Jak częstować, a nie pić ? i to się nie godzi ;

Więc ja znowu do wódki, wypilem niechaczy ;

Omnē trinum perfectum, choć trunek gorący

Dobry jest na żołądek. Jakoż w punkcie zdrowy,

Ustały i nudności, ustał i ból głowy.

Zdrów i wesół wychodzę z moimi kompani,

Wtem obiad zastaliśmy już przygotowany.

Siadamy. Chwali trzeźwość pan Jędrzej, my za nim,

Bogdaj to wstrzemięliwość, pijatykę ganim,

A tymczasem butelka nietykana stoi.

Pan Wojciech, co się bardzo niestrawności boi,

Po szynce, cośmy jedli, trochę wina radzi,

Kieliszek jeden, drugi, zdrowiu nie zawadzi,

A zwłaszcza, kiedy wino wytrawione, czyste.

Przystajem na takowe prawdy oczywiste.

Idą zatem dyskursa tonem statystycznym

O miłości ojczyzny, o dobru publicznym,

O wspaniałych projektach, męznym animuszu ;

Kopiem góry dla srebra i złota w Olkusz,

Odbieramy Inflanty i państwa mullaniekie,

Liczymy owe sumy neapolitańskie,

Reformujemy państwo, wojny nowe wozdizim,

Tych bijem wstępny bojem, z tamtymi się godzim.

A butelka nieznacznie jakoś się wysusza,

Przyszła druga ; a gdy nas żarliwość porusza,

Pełni pociech, że wszyscy przeciwnicy legli,

Trzeci, czwarty i piąty anisowy postrzegli.

Posłała szósta i siódma, za niemi dziesiąta,

Naówczas, gdy nas miłość ojczyzny zaprząta,

Pan Jędrzej, przypomniałszy śrózawiejskie kłeski,

Nuż w płacz nad królem Janem. „Król Jan był zwycięski !” —

Krzyczy Wojciech. „Nieprawda !” — A pan Jędrzej płacze.

Ja, gdy ich chcę pogodzić i rzeczy tłumaczyć,

Pan Wojciech mi przymówił : „Słyszysz wasz” — mi rzecze.

„Jako wasz ! Nauczę cię rozumu, człowiecze”.

On do mnie, ja do niego, rwiemy się zajądli,

Trzyma Jędrzej, na wrzaski służący przypadli,

Nie wiem, jak tak skończyli zwadę naszą wielką,

Ale to wiem i czuję, że wziął w łeb butelkę.

Bogdaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo !

Cóż w nim ? Tylko niezdrowie, zwady, grubijanstwo.

Oto profit : nudności i guzy i plasty.

— Dobrze mówisz, podłej to zabawa halastry,

Brzydzi się nim czelek prawy jako rzeczą sprośną ;

Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosna,

Pamięć się przez nie traci, rozum użycie,

Zdrowie się nadawęża i ukraca życie.

Patrz na czelek, którego ujęła moc trunku,

Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku

Godzien się mieścić, kiedy rozsadek zaleje

I w kontr naturze postać bydlęcą przywiedzie.

Jeśli niebios zdarzenie wino ludziom dało

Nato, aby użyciem swojem orzeźwiał,

Użycie darów Bożych powinno być w mierze.

Zawstydzają pijanice nierozumne zwierze,

Potępiają bydlęta niewstrzymalność naszą.

Trunkiem według potrzeby gdy pragnienie gaszą,

Nie biorą nad potrzebę ; czelek, co niemi gardzi,

Gorzej od nich gdy działa, podlegszy tem bardziej.

Mniejsza guzy i plasty, to zapłata zbrodni,

Większej kary, obelgi, takowi są godni,

Co w dziękem zaślepieniu występni i zdroźni,

Rozum, który człowieka od bydlęcia różni,

Śmiaż za łada przyczyną przytępić lub tracić.

Jakże zysk taką szkodę potrafi zapłacić ?

Jaka korzyść tak wielką utratę nadgorzi ?

Zła to radość, mój bracie, po której żal chodzi.

Ci, co się na takowe nie udają zbytki,

Patrz, jakie swej trzeźwości odnoszą pożytki ;

Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesola i wolna,

Moc i rażność niezwykła i do pracy zdolna,

Majętność w dobrym stanie, gospodarstwo rządne,

Dostatek na wydatki potrzebne rozsądne ;

Te są wstrzemięliwości zaszczyty, pobudki,

Te są... — Bądź zdrow. — Gdzie idziesz ? — Napiję się wódki.

ARTUR BARTELS

DZIOŃEK OBYWATELSKI

— Pietrek ! która godzina ?

— Po jedenastej, panie.

Nakrojona wędlina,

Zastawione śniadanie...

— Co na dworze dziś rano ?

— Deszczu pada niewielki...

— Przepadło moje siano :

Dobądź z szafy butelki.

— Pietrek ! która godzina ?

— Kwadrans na pierwszą, panie.

— Jeść mi się chce zacząć,

Dalipan niesłychanie.

— Co na dworze ? — pogoda ?

— Deszczu ani kropelki...

— Niema deszczu, to szkoda !

Daj mi z tamtej butelki...

— Pietrek ! która godzina ?

— Druga... Waza na stole,

Dobry rosół z łina...

— A co tam po rosole ?

— Będzie pieczeń wolowa...

— Hum... hum... obiadek krótki,

Jakoś boli mnie głowa,

Daj mi kieliszek wódki !

— Pietrek ! która godzina ?

— Blisko już szósta, panie :

Z panem sędzią sędzina

Jadą... niechaj pan wstanie !

— Jadą ? biegaj, prosz siedzieć...

Ach ! poczwy Franciszek,

Przyjechał mnie odwiedzić,

Daj mi wódki kieliszek !

— Pietrek ! która godzina ?

— Po dziewiątej już, panie.

Niedomaga sędzina,

Nocować tu zostanie...

— A jaka tam kolacja ?

— Będzie potrawa z główki...

— Panie sędzio, jest racja

Wypić cynamonówki !

— Pietrek ! która godzina ?

— Po północy już, panie...

— Czy śpi pani sędzina ?

— Ej, śpi dawno, mospanie !

— I nam spocząć już pora,

Ale panie Franciszku,

Canonica to hora,

Jeszcze choć po kieliszku !

— Pietrek ! która godzina ?

— Pierwsza, czyż pan nie widzi ?

— A śpi pani sędzina ?

— Spi... mien pan też spać taze.

— Idę, trafię bez kija,

Ale tak do poduszki,

Pietrek, Ave Maria !

Wyinę jeszcze staruszeki,

Gratias plena Maria !

Jeszcze raz do poduszki.

ARTUR BARTELS.

WŁADYSŁAW SYROKOMŁA

NAGROBEK OBYWATELOWI D.O.M.

Bil chłopów pałką,

Poił gorzałką,

Miał sto chat z górą,

Jadł barszczyk z rura,

Popił piwo,

Zbierał groszow,

Czasem od święta

Ciał się w harcieta.

Miał arendarza,

Z którym rozważa :

Czy będa wojny ?

Czy czas spokojny ?

Zjadł na śniadanie

Udo baranie

I witych w cieście

Koldunów dwieście.

Tak z niestrawności

Doszedł wieczności

I w ciemnym grobie

Spoczywa sobie.

Nim wieki zbiega,

Tnie chrapkatego,

Aż głos anioła :

„Wstawaj ! — zawoła —

Bo już gotowa... —

Pieczon wolowa !”

WŁADYSŁAW SYROKOMŁA.

RODOĆ

NIE JESTEM PRZY APETYCIE

Garson ! proszę o nakrycie !

— Wiem, w osobnym pokoiku...

— Nie jestem przy apetycie...

— Może czystego barszczyku ?

— Ej ! nie, wolę buljon jaki,

A przed tem jak zwykle — raki.

Ze śmietaną, tak obficie.

— Słucham pana ; a co potem ?

— Nie jestem przy apetycie...

— Może kurczak z kompotem ?

— Wolę już pieczeń wolową

Z rożna, wiesz, nawpół surową !

Przerastała naleźnica,

— Jest, proszę pana ; co jeszcze ?

— Nie jestem przy apetycie !...

— Może lin, węgorez, jeszcze...

— Rybka ujdzie, byle tuśto.

Więc lin, z duszoną kapustą.